

S. Małgorzata Chmielewska:

Mając takiego cenzora po prawej stronie mam nadzieję, że nie popełnię żadnego błędu teologicznego. Myślę, że powinniśmy zacząć od wjechania na tę wieżę. Dlatego, że dopiero z wieży widać tak naprawdę więcej niż to, co widzimy chodząc po ziemi uwikłani w bardzo drobne, codzienne sprawy. W nasze – wydawałoby się – najważniejsze i największe na świecie kłopoty.

Kiedyś ktoś powiedział, że należy wejść na wieżę swego kościoła parafialnego, żeby zobaczyć co się dzieje trochę dalej. I jeśli mówimy o miłości, co to znaczy kochać innych ludzi – to przede wszystkim trzeba tych ludzi poznać. Chrystus w Ewangelii św. Łukasza mówi wyraźnie o sobie wyraźnie, kiedy rozpoczyna swoją działalność: „Duch Pański spoczywa na Mnie ponieważ Mnie namaścił i posłał, abym ubogim niósł Dobrą Nowinę, więźniom głosił wolność, niewidomym przejrzenie, abym uciśnionych odsyłał wolnymi.”

To jest posłannictwo Chrystusa i wydaje mi się, że ciągle wszyscy mamy z tym problem. Jeśli chcemy Go naśladować, to nie możemy robić inaczej. I to jest chyba najtrudniejsze. Ciągłe wydaje nam się, że dwa adresy, pod którymi spotykamy Chrystusa zupełnie wystarczą, żeby Go w pełni poznać.

Dzisiaj, w czasie Mszy świętej, w czasie homilii, była mowa o poznaniu Boga, o głębszym poznaniu Boga. Chrystus ma trzy adresy. I jeśli my sami nie będziemy Go szukać, jeśli ja sam nie będę Go szukać pod tymi trzema adresami ustawicznie, to nie pokażę innym gdzie Go szukać, jak też – siłą rzeczy – to, co pokażemy będzie wynikiem naszego życia, owocem naszej kontemplacji. Przekażemy innym, pokażemy innym kawałek Chrystusa lub też nie do końca prawdziwego Chrystusa. Pan Jezus mieszka pod trzema adresami.

Kiedy młodzi ludzie, którzy szli za Janem Chrzcicielem, a później poszli za Jezusem (scena z Ewangelii) zadali Panu Jezusowi pytanie: „Gdzie mieszkasz?”, to najpierw Pan Jezus im zadał pytanie: „Czego szukacie?” I oni skonsternowani odpowiedzieli: „Gdzie mieszkasz? Nauczycielu, gdzie mieszkasz?” Jeśli chcemy się do kogoś zbliżyć, to musimy poznać jego adres. Myślę, że wiele nieszczęść tego świata, że wiele nieszczęść współczesnego człowieka i każdego człowieka polega na tym, że szukamy miłości pod fałszywym adresem. To jest jasne. I Chrystus wtedy odpowiada: „Chodźcie, a zobaczycie!” Nie odpowiada: „Mieszkam w Betlejem numer taki i taki; Jerozolima 55”.

„Chodźcie a zobaczycie!” Mieszkanie Jezusa odkrywa się idąc za Jezusem. To jest moje doświadczenie. Doświadczenie ludzi, z którymi żyję. Zarówno z tymi, którzy razem ze mną tworzą Wspólnotę – przy czym w naszym przypadku pojęcie wspólnoty jest pojęciem dosyć szerokim, bo my mieszkamy z ubogimi, których przyjmujemy pod swój dach. Gdy ludzie mnie pytają ilu u nas jest członków Wspólnoty, to jestem często skonsternowana dlatego, że nie wiem czy naszego Krzysia, który mieszka z nami już parę lat i który na swój sposób stara się jak potrafi (to jest wychowanek domu dziecka, kompletnie porozbijany; stara się to skleić, przychodzi na modlitwę – na tyle na ile potrafi, pracuje często więcej psując niż pracując), zaliczyć do Wspólnoty, czy nie. Oczywiście przyprawia nas czasami o zawrót głowy, nie on jeden. Czy on jest członkiem Wspólnoty? Formalnie – oczywiście nie. Ale jest członkiem rodziny. Mieszkamy razem, pracujemy razem, przeżywamy wiele rzeczy razem.

„Chodźcie a zobaczycie!” Jeden z tych adresów to, oczywiście, jest człowiek ubogi. Pan Jezus wyraźnie identyfikuje się z człowiekiem, z każdym człowiekiem, a szczególnie z człowiekiem w potrzebie: „Byłem głodny, a daliście mi jeść. Byłem spragniony, a daliście mi pić. Cokolwiek uczyniliście braciom Moim najmniejszym – Mnieście uczynili.”

Oczywiście, to jest Kościół w szerokim dla mnie znaczeniu. Kościół jako tradycja, Kościół jako wspólnota. I przede wszystkim na pierwszym miejscu i od tego trzeba by zacząć – to jest Eucharystia. Wokół Eucharystii gromadzi się Kościół. Na pierwszym miejscu powinien w tym Kościele stać człowiek ubogi. Mam wrażenie, że to głoszenie Ewangelii trochę nam nie wychodzi. Szczególnie w tym punkcie dotyczącym spotkania Chrystusa w osobie drugiego człowieka, kiedy katechizujemy nasze dzieci i przygotowujemy do I Komunii świętej.

Marcelina dwa lata temu była przygotowywana do I Komunii. Teraz już jest w klasie 4. To jedno z naszych dzieci. Marcelina była przerażona, zestresowana i żołądek ją bolał dlatego, że warunkiem dopuszczenia do przyjęcia I Komunii było wykucie na pamięć dziesiątków regułek, przykazań, modlitw itd. To zestresowane dziecko – skądinąd zdolna, normalna dziewczynka – nie było w stanie się tego nauczyć. Już nie mówiąc o tym, że wielu wyrażań nie bardzo rozumiała, że musiałyśmy jej długo tłumaczyć co to znaczy: „Nie cudzołóż” i różne inne terminy. I to był warunek dopuszczenia do I Komunii. Kiedy poszłam do pani katechetki, bo dziecko nie było w stanie przejść egzaminu (to był jej pierwszy egzamin w życiu) zapytałam panią katechetkę czy ona rzeczywiście musi to umieć? Po rozmowie z Marceliną wiedziałam, że nie, ale byłam trochę podstępna i pytam panią katechetkę czy w ogóle była mowa, że przyjęcie Pana Jezusa to oznacza, że by się zastanowić jaki jest mój stosunek do kolegów, do mamy, do taty, że należy się dzielić? Akurat w tej klasie był niezwykle przykry wypadek kiedy chłopiec lekko upośledzony był po prostu maltretowany przez

klasę, kopano go, dokuczano mu, przyczepiano złośliwe karteczki. Marcelina nie brała w tym udziału, ale nie broniła tego chłopca. Kiedy sprawa wyszła na jaw, została potwornie zrugana za to, że go nie broniła. Czy my przygotowując dzieci do I Komunii, do momentu, w którym spotykają Chrystusa w Eucharystii, w ogóle w jakikolwiek sposób mówimy im i tłumaczymy i pokazujemy własnym życiem, że to jest wielkie zobowiązanie? Zobowiązanie miłości? I czy odkrywamy przed tymi dziećmi fantastyczny świat i fantastyczne zadanie? Jesteśmy powołani do przemiany tego świata. Czy my to tym dzieciom przekazujemy? Moim zdaniem, z mojego doświadczenia – nie.

Dzieci z naszych domów to dzieci samotnych matek, to dzieci bardzo, bardzo biedne, które czują się poniżone wtedy, kiedy do kościoła wprowadzane są rowery, komputery po to, aby je pobłogosławić. Nie podam nazwy parafii, ale tak było. Ja zdębiałam.

Co przekazujemy tym dzieciom?

Kiedy małą dziewczynkę bito, chłopca topiono głową w ubikacji, żeby go wymyć, bo byli brudnymi Rumunami, to umyli. I kiedy zwracam uwagę katechecie, który przychodzi do nas Msze świętą odprawiać, że to jest właśnie fantastyczny moment na katechezie, żeby przekazać dzieciom przesłanie o braterstwie, o powszechnym braterstwie, że w modlitwie „Ojcze nasz” itd., itd. – to na to katecheta mi odpowiada: „To jeszcze za wcześnie”. Nie za wcześnie, żeby topić kolegę głową w ubikacji, ale za wcześnie, żeby dzieci to zrozumiały. Nieprawda! Odbieramy w jakimś sensie przekaz, odbieramy całe piękno jakie jest w spotkaniu drugiego człowieka i w odkryciu w tym drugim człowieku oblicza Boga. Myślę, że to jest początek jakby duszpasterstwa powołań. Bo jeśli ten moment przegapimy, to potem jest szalenie trudno. I tego adresu bardzo często ludzie poszukują i go znajdują.

To, co mówił Ksiądz Biskup: o wolontariacie, o najrozmaitszych grupach, które niekoniecznie mają w tytule „katolicki”. Na ogół uznajemy, że jak mają tytuł „katolicki”, to wtedy jest w porządku. A jak nie mają tytułu „katolicki” to ich oddanie, dobre serce, często heroizm, nie mają żadnego znaczenia. To wielka pomyłka, bo bardzo wielu ludzi szuka Boga przez sam fakt, że spotyka drugiego człowieka i nie omija go. W moich domach mamy np. schronisko dla chorych. Jest tam 90. ludzi chorych, których nikt nie chce. Nawet zgromadzenie zakonne powołane wyłącznie do ludzi bezdomnych i umierających na ulicach – owych bezdomnych i umierających na ulicach w dzień Wigilii przywozi, brudnych i nie umytych, do nas. Można powiedzieć – podrzuca nam skarb, rezygnując samemu! Te siostry zakonne zrezygnowały ze skarbu w tym momencie. To głupota oddać komuś skarb. W tym schronisku dla chorych żyje młode małżeństwo. Oni zostali wybrani „Gośćmi Roku” w Gościu Niedzielnym. Był taki cykl reportaży, czy wywiadów. Andrzej i Agnieszka, zostali wybrani w ubiegłym roku przez czytelników „Gościu Roku”. Oczywiście, na co dzień życie z umierającymi i bezdomnymi jest na pewno pasjonujące, ale nie są to ludzie z uśmiechem na ustach, którzy codziennie rano śpiewają: „Alleluja!”. Otóż to właśnie schronisko, ten dom, w którym oni żyją wszyscy razem i w którym mamy tylko 1,5 etatu pielęgniarskiego na 90. chorych, łaskawie nam przyznanego przez poprzednie władze Warszawy funkcjonuje tylko dlatego, że tam wolontariuszami są sami bezdomni, którzy trafili do nas nie dlatego, że chcieli, ale dlatego, że przywozła ich – w stanie bardzo, że tak powiem śmierdzącym i chorym – policja. Niektórych udało się doprowadzić do takiego stanu, że mogą pomóc innym. I to tylko dzięki temu funkcjonuje. Do tego domu przyjeżdża bardzo wielu różnych ludzi. Od kapłanów począwszy na wolontariuszach skończywszy. Bo w tym domu coś jest, co przyciąga. I przyjechała do nas pani Gronkiewicz-Waltz, prezydent Warszawy. Ona zresztą jeszcze jak była prezesem NBP to odwiedzała naszą noclegownię dla kobiet. Przyjechała, obejrzała to schronisko i rozmawia z Andrzejem i Agnieszką. Agnieszka wygląda jakby miała 15 lat. To jest dziewczyna po studiach. Zrezygnowała ze stypendium w Stanach Zjednoczonych, wstąpiła do Wspólnoty. Pani Prezydent spojrzała na nich i mówi: „Ja nie przyjechałam tu po rekolekcje, tylko przyjechałam załatwić sprawy. A wyjeżdżam po rekolekcjach”. Myśmy nic nie mówili. Andrzej sobie tam żartował. Agnieszka z nią rozmawiała. Myślę, że to jest właśnie nasz ogromny błąd. Domyślam się z czego ten błąd wynika. Wiemy to wszyscy. Mniej nas kosztuje modlitwa i adoracja, aczkolwiek czasami kosztuje, ale dużo mniej nas kosztują pobożne spotkania niż nawiązanie więzi z drugim człowiekiem. Szczególnie z człowiekiem, który jest człowiekiem trudnym, innym i obcym. Obcym, chociażby przez to, że przynosi z sobą informację o tym, że świat nie jest piękny. Myślę, że to, co głosimy także młodym ludziom – chociaż ja głoszę akurat zupełnie odwrotną rzecz, za co bardzo często się obrażają na mnie ci, którzy mnie zapraszają – że świat jest piękny to tylko pół prawdy. Świat jest przerażająco piękny, ale i przerażająco brzydki i okrutny. I zupełnie naturalną naszą reakcją jest ucieczka od tego, co brzydkie, co trudne, co jest cierpieniem – zwłaszcza w kulturze, w jakiej żyjemy. W kulturze konsumpcyjnej.

Ksiądz Biskup prosił mnie o postawienie dwóch pytań.

Jedno z tych pytań było jakby takim wezwaniem do rozeznania sytuacji; do wjechania na tę wieżę i spojrzenia jak wygląda dzisiejszy świat. My mamy głosić Ewangelię, ale nie światu, który był 2000 lat temu, ani światu, który był 10 lat temu. My mamy głosić Ewangelię światu, młodym ludziom i zachęcić ich do tego, by oni z nami tę Ewangelię głosili w imię Chrystusa. Ale światu, który jest dziś i teraz. I dlatego nie możemy sobie pozwolić, żeby zamknąć oczy i nie śledzić stale nie tylko – oczywiście w sposób sensowny –

wiadomości politycznych, społecznych, gospodarczych, ale także przemian kulturowych. Także tego, co się dzieje wśród młodzieży i wśród starszych ludzi. Bo inaczej nie będziemy głosili Ewangelii, tylko będziemy głosili przesłanie, które jest zupełnie nieaktualne i które nikogo nie interesuje. Ten świat zmienia się już nie co 50 lat, tylko co pół roku. Podam taki przykład.

Mamy w województwie świętokrzyskim dom. Kiedy 8 lat temu do tego malutkiego gospodarstwa rolnego, w którym było paru ludzi bezdomnych, się wprowadziłam, zaczęli tam przychodzić ludzie z prośbą o chleb. Ale zanim prosili o chleb, prosili o pracę. Bo to byli jeszcze ludzie, którzy mieli resztki godności. Myśmy na niespełna 2 hektarowym gospodarstwie z trudem znajdowali zajęcia dla bezdomnych, których mieliśmy, a coś dopiero zajęcia dla tych ludzi z zewnątrz. Moim bólem głowy co wieczór było – czym ja zajmę jutro tych ludzi? Te kobiety i tych mężczyzn. Czym zajmę po to, aby otrzymali jedzenie, którym się dzieliliśmy, a które było jedzeniem z darów przeterminowanych. Żeby otrzymali jedzenie w zamian za pracę – a nie jedzenie jako jałmużnę. Co ja im wymyślę? I w pewnym momencie wymyśliłam stolarnię. Oczywiście, stolarnia to było wtedy bardzo duże słowo. To były dwie wiertarki, to były chińskie narzędzia po 20 złotych. Miały tę zaletę, że się psuły niezwykle często, ale ich się nie reperuje tylko wymienia na nowe. Wobec tego mieliśmy bez przerwy nowe narzędzia. I mówię: „Chłopaki, no to zaczniemy robić psie budy!” Jedną kupił ks. arcybiskup Życiński. W każdym razie zaczęliśmy robić psie budy.

Z kobietami problem. Mnóstwo jabłek leżało pod drzewami, których nikt nie chciał kupić. Mówię: „Dziewczyny, będziemy smażyć marmolady!” I u mnie w kuchni na kuchence gazowej smażyłyśmy marmolady. Dzisiaj mamy przetwórnice owocowo-warzywną, zdobywamy nagrody. Gospodarstwem szefuje pan inżynier, rolnik z wykształcenia. Do nas przyjeżdżają pani wojewodzina, marszałkowie i wszyscy święci. I te moje kobiety z pań, które były na granicy zebrania są tymi, które oprowadzają te wycieczki, które prezentują na targach polskich i międzynarodowych, najrozmaitszych nasze produkty. I to nam poszło. Ale sytuacja się zmieniła. Mamy stolarnię, halę o powierzchni 300 metrów kwadratowych. Fantastyczne maszyny, dzięki setkom ludzi, którzy nam w tym pomogli. Ale sytuacja się zmieniła. O ile 7 lat temu na liście bezrobotnych w powiecie było kilkudziesięciu stolarzy i wszyscy pukali mi w głowę: Po co ja kształcę stolarzy, kiedy to jest zawód zanikający?, w tej chwili ostatni stolarz wyjechał za granicę i zgasił za sobą światło. Wobec tego my, kształcąc ludzi w tym zawodzie, mamy szansę dać im pracę i to natychmiast. I to nie tyle, że zatrudniamy ich, ale dajemy im zawód poszukiwany na rynku pracy. Z drugiej strony my sami nie możemy znaleźć pracowników. W tej chwili sytuacja się tak zmieniła, że ludzie, którzy przychodzą do nas – bezrobotni z okolic, czy bezdomni - to są ludzie bardzo ciężko uzależnieni od alkoholu, upośledzeni umysłowo. To ci, którzy już nie załapali się ani na zagranicę, ani na jakąkolwiek pracę w Polsce. Czyli my musimy zmienić swoją metodę działania. I to się stało w ciągu 7 lat. Zupełnie inny rynek pracy, zupełnie inne potrzeby.

Jesteśmy wezwani do tego, żeby świat przemieniać i nie możemy oszukiwać tych, z którymi mamy do czynienia, że ten świat jest piękny, a tobie będzie bardzo dobrze całe życie. Myślę, że młodzież potrzebuje wezwań. Problem polega na tym, że my starzy, jesteśmy już dosyć zmęczeni i nie chce się nam już podejmować wezwań. Wobec tego jeśli zaczniemy przekazywać młodzieży, że należy przekraczać siebie, przemieniać świat, to towarzysząc im będziemy zmuszeni również my do wyjścia poza siebie. A człowiekowi starszemu się trochę nie chce. Nie chce się przełamywać schematów. To jest to niebezpieczeństwo – nie chce się zaczynać od nowa; nie chce się analizować sytuacji, bo się przyzwyczaił człowiek do tego, co przeżył. Nie chce się robić rewolucji we własnym zgromadzeniu (nie mówię o złej rewolucji), we własnej wspólnotcie, czy we własnym domu. Ja to wiem po sobie, że każda zmiana sprawia mi coraz większy ból. Już jestem po prostu coraz starsza.

Mówi Ojciec Święty Jan Paweł II kapitalne słowa: „Spojrzenie utkwione w oblicze Chrystusa nie osłabia w apostołstwie woli służenia człowiekowi. Przeciwnie: umacnia ją, nadając jej nową zdolność oddziaływania na historię, aby uwolnić się od tego, co ją oszpeca.” I myślę, że, to co jest szalenie interesujące i pociągające dla młodych ludzi, to jest to, by im pokazać możliwość przemiany tego świata w sposób nie rewolucyjny, a w sposób ewangeliczny.

Żołyciel naszej Wspólnoty, Pascal Pingault, to człowiek żonaty, ma 7 dzieci. On jest z 68 roku. U nas były wydarzenia marcowe, a na zachodzie Europy była rewolucja kulturowa, młodzieżowa. On całe życie poszukiwał prawdy. Poszukiwał odpowiedzi na pytanie dlaczego ten świat jest niesprawiedliwy? Dlaczego jest cierpienie? Szukał w komunizmie, szukał w grupach anarchistycznych. Był narkomanem. I nigdzie nie znajdował pełnej odpowiedzi. Dopiero, gdy w sposób przypadkowy, przeczytał Ewangelię – natychmiast zrozumiał, że Chrystus był jedynym Człowiekiem i Bogiem jednocześnie, który robił to, co głosił. I, że wszystkie odpowiedzi na jego pytania znajdują się w Ewangelii.

Współczesna młodzież, mając dostęp do internetu, do telewizji, do gazet, żyje w świecie globalnym. I również stawia sobie te pytania. Dlatego trzeba im pokazać, że są ludzie, którzy na takie pytania odpowiadają.

Pamiętam w ubiegłym roku prowadziłam rekolekcje dla gimnazjalistów. Nie wszyscy zdajemy sobie sprawę, że jest to najcięższy orzech do zgryzienia i najcięższy kawałek chleba – parafialne rekolekcje dla gim-

nazjalistów. Szkoła przetrwania. I myślałam, że umrę starając się wymyślić coś, co by było jednocześnie rzeczywistym przekazem a z drugiej strony coś, za co by mnie nie zlinczowali. Zrobiłam taką prezentację komputerową, na której pokazałam z jednej strony to, co jest brzydkie na tym świecie, a z drugiej strony konkretnych ludzi, twarze ludzi, którzy starają się odpowiedzieć, którzy starają się zmienić tę sytuację. I potem rozmawiałam z katechetką. Ona na lekcjach później omawiała to, co ja mówiłam, I mówi, że młodzież nie zdawała sobie sprawy, że na świecie może być tylu ciekawych ludzi, którzy starają się, którzy robią tak wiele ciekawe rzeczy. Nikt im nie powiedział, że na świecie miliony dzieci umiera z powody głodu, umiera np. na ulicach państw afrykańskich z powody głodu dlatego, że ich rodzice umarli na AIDS, itd. Nikt im nie mówił. A przecież to nas bezpośrednio dotyczy. Ale nikt im nie mówił, że są ludzie zdolni do bohaterstwa, bo jedynymi bohaterami dla nich są przecież głupki z filmów telewizyjnych. Nikt im nie pokazał innych bohaterów, którzy żyją wśród nas.

Dzwonił do mnie jeden z naszych chłopców, bo we Wspólnocie żyją też rodziny. U Franciszkanów w Niepokalanowie jest liceum. Tomek dzwoni i mówi: „Mamy generałkę (co oznacza sprzątanie) i rozmawiałem z kolegą. Mówię mu o naszej Wspólnocie, a on wytrzeszcza gały i pyta: „A czemu nikt o was nie słyszał?” Co mógł opowiedzieć Tomaszek o Wspólnocie? Tomaszek nie opowiadał jakiś wielkich rzeczy o Wspólnocie, tylko – wyobrażam sobie – że gdy przyjeżdża do domu to przewala tony używanej odzieży. Dostajemy ją po to, byśmy mogli ją sprzedać. Jeździ więc Tomaszek z mamą po wsiach na targi i po prostu handluje. Tomaszek akurat dobrze handluje. Słoik dzemu sprzedał w Krakowie za 50 złotych. To był szczyt. Został przeze mnie za to mocno zbesztany, że przesadził. Ale, że ktoś chciał zapłacić – to zapłacił. W każdym razie opowiadał Tomaszek, że żyje wśród ludzi kalekich, chorych psychicznie, przywożonych z wszami, nie-normalnych. No bo co mógł opowiadać? W małej wiosce, w której wrony zawracają i najbardziej pobożni ludzie przyjeżdżają zwiedzić Siostrę Chmielewską mówią: „Ach, jak to wspaniale służyć ubogim! A właściwie, co Siostra tu robi? Dlaczego Siostra siedzi tu w tym miejscu?” Więc mówię: To jest sprzeczność. Wspaniale służyć ubogim, to gdzie mam siedzieć? W pałacu? Tu jest zabita dechami wioska, nędza dookoła, no to właśnie tu trzeba siedzieć, jak się chce służyć ubogim, a nie gdzie indziej. To mógł nasz Tomaszek opowiadać. I ten jego kolega był tym zafascynowany. Tomaszek, w jakimś sensie, apostołuje. Myśmy nigdy Tomaszekowi nie robili wielkich kazań na temat miłości bliźniego. Po prostu z tym się wychowywał. I to fascynuje młodzież. I to doświadczenie z rekolekcji, kiedy się trochę bałam tych rekolekcji w zeszłym roku pod Krakowem, utwierdziło mnie w przekonaniu, że młodzi ludzie chcą wiedzieć, że ten świat jest taki brzydki. Młodzi ludzie muszą wiedzieć, że nie są w tym świecie sami. Nie wystarczy im, że ktoś z nimi zaśpiewa: „Alleluja!”. Im potrzeba bohaterów. Tego nie daje współczesny świat, zwłaszcza świat, w którym autorytety są po prostu niszczone. Świat, w którym te autorytety zmieniają się jak rękawiczki, albo też, niestety, czasami wielkie autorytety okazują się wielkim niczym. Myślę, że mamy trochę za mało odwagi. Ale to znowu jest ten problem, bo żeby z młodymi ludźmi taką lekcję przerobić – trzeba samemu zakasać rękawy. Bo to, na co jest ogromnie wyczulona młodzież to prawdziwość przekazu.

Do nas przyjeżdżają młodzi ludzie, studenci. Przyjeżdżają i odkrywają prawdę. Bywa, że ja coś mówię, a oni przyjeżdżają i mnie sprawdzają. Głosiłam rekolekcje do Wspólnoty „Ognisko Miłości”. I dwóch chłopaków przyjechało do nas wczoraj. Kapitalna rzecz. Jeden z nich jest fryzjerem, a drugi informatykiem. Przyjechali jako wolontariusze. Podejrzewam, że troszkę przyjechali, żeby sprawdzić czy to, co mówiłam to była prawda. Czy rzeczywiście jest tam taki Artur, Krzysiu czy Michał i wymagają szybkiego ostrzyżenia. I to była służba, że przyjechał chłopak, który strzygł pewnie ze dwadzieścia osób. I widziała, jak mieszkańcy mówili: „Jacy to fantastyczni ludzie!”. A z kolei chłopcy, oprócz tego, że przyjechali służyć, przyjechali sprawdzić czy to, co ja mówię było absolutną prawdą, że to jest, że my naprawdę tak żyjemy. Wiem po naszych dzieciach, bo dzieci, które wychowuję, a jest ich sporo, potrafią wyczuć instynktownie czy ktoś – katechetka, ksiądz, który głosi homilię, albo ktoś, kto ich poucza – mówi lekcję wyuczoną, czy mówi to, czym naprawdę żyje. To jest w ogóle warunek porwania ludzi do Chrystusa. Zwłaszcza ludzi młodych.

Pierwsze pytanie było: jak wygląda współczesny świat i czego on oczekuje?

Zawsze oczekuje – to Chrystus mówi, Ojciec święty powtarza – oczekuje przemiany, uleczenia.

A drugie pytanie? Szalenie ważna sprawa. Mianowicie – tekst, który zawsze czytam i zawsze opowiadam anegdotkę. To jest tekst, który nie tylko mnie, ale i parę osób zbulwersował kiedy go znaleźliśmy. Znaleźliśmy go zanim Papież Jan Paweł II umieścił go w swojej adhortacji, a widocznie zbulwersował i Jana Pawła II, skoro go umieścił. To jest tekst, który napisali biskupi w czasie jednego z synodów. Był to synod do spraw świeckich w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Biskupi na zakończenie skierowali takie przesłanie: „Człowiek, choć powołany do radości, w swoim codziennym życiu doświadcza cierpienia i bólu w najrozmaitszych formach...” Do mężczyzn i kobiet dotkniętych cierpieniem i bólem różnego rodzaju ojcowie synodalni skierowali w swoim orędziu następujące słowo: „Wy wszyscy – zepchnięci na margines naszego konsumpcyjnego społeczeństwa: chorzy, ułomni, ubodzy, głodni, emigranci, uchodźcy i więźniowie, bezrobotni, starcy, dzieci opuszczone i osoby samotne. Wy – ofiary wojny i wszelkiego rodzaju przemocy rodzącej się w naszym zezwalającym na wszystko społeczeństwie. Kościół uczestniczy w waszym cierpieniu prowadzącym do Pana, który włącza was w swoją odkupieńczą mękę i pozwala wam żyć w świecie

tle swojego zmartwychwstania. Liczymy na wasze świadectwa, aby uczyć świat czym jest miłość. Zrobimy wszystko, co jest w naszej mocy, abyście znaleźli należne wam miejsce w Kościele i w społeczeństwie”.

„Liczymy na wasze świadectwo, aby uczyć świat czym jest miłość”. To zdanie przewraca kompletnie skalę wartości, według jakich wydaje się nam, że służymy Chrystusowi i Ewangelii. To my idziemy uczyć świat i tych biedaków czym jest miłość. My ich nawrócimy i my im pokażemy jak powinno wyglądać. Czyści, schludni, z rączkami tak złożonymi w szeregu do Boży – byleby tylko któryś z nich nie wychylił się. Tak wiążą sukces. To wielka pomyłka. „Liczymy na wasze świadectwa, żeby uczyć świat czym jest miłość”.

Jeśli nie rozumiemy tego, tak jak rozumieją to ci, którzy zostają z nami we Wspólnocie Chleba Życia, którzy przychodzą do Wspólnoty z bardzo różnych powodów, często jako ludzie szukający, albo jako ludzie, którzy sami zawikłali się w jakieś kłopoty. I jeśli nie rozumiemy, że to oni zyskują naukę, czasami bardzo drogo kosztującą, czym jest miłość – to, niestety, od nas wychodzą. To zdanie akurat w naszej Wspólnocie jest bardzo głęboko odczuwane i przeżywane, dlatego, że zasadą życia naszej Wspólnoty jest, by ubogi był w centrum. Eucharystia, ubogi i dziecko – w centrum naszego życia.

To nie oznacza oczywiście, że jeśli mój mieszkaniec pije alkohol, albo wulgarnie się odzywa, to ja mam się tego uczyć. W ogóle nie o to chodzi. Kiedy parę lat temu zajechałam do naszego schroniska dla chorych, nie mieliśmy pampersów dla dorosłych. Była mniej więcej dziesiąta wieczór. Zeszłam do kuchni. Siostra Renia mieszkała wtedy sama z 30 chorymi umierającymi. Część z nich leżała na korytarzach, dosłownie pod drzwiami pokoi, bo nie było gdzie ich kłaść. Piłam herbatę z Renią i wszedł do kuchni jeden z mieszkańców. Nazywaliśmy go „ciastowy”, bo świetnie piekł ciasto. I trzymał w ręku jednego pampersa. Ciastowy był chory na raka nerek, ale jeszcze był chodzący. I mówi tak: „Siostrze Reniu, niech Siostra weźmie tego pampersa i założy temu tam, to Siostra prześpi chociaż jedną noc.”. Ja początkowo nie załapałam o co chodzi. A Renia na to: „Przecież panu ten pampers jest potrzebny, a w dodatku to jest pana ostatni pampers!”. A on mówi: „ To nie szkodzi . Ja sobie dam radę. Jutro poszukam.” O co chodziło?

Renia miała pod opieką m.in. umierającego człowieka, któremu – z powodu braku pampersów – co godzinę, co półtorej godziny musiała zmieniać podkład, żeby nie dostał odleżyn. I ten drugi człowiek chory, nasz mieszkaniec, widział to, jak ona już parę nocy nie śpi. Przyniósł jej swojego ostatniego pampersa. Schronisko było oddalone o blisko pół godziny drogi do najbliższego przystanku autobusowego. „Znajdę sobie pampersy” oznaczało, że będzie chodził cały dzień i żebrał od jednej organizacji charytatywnej do drugiej, żeby mu ktoś dał pampersy. Pytam: Kto z nas? Kto z nas?

Ta historia miała swój epilog podwójny.

Pierwszy był taki, że jakiś czas później spotkaliśmy się z Jurkiem Owsakiem w jakiejś sprawie i opowiedziałam mu tę historię, którą bardzo głęboko przeżyłam. A Jurek Owsiak mówi: „To nie macie pampersów?”. A ja mówię: „No, nie mamy.” I za parę dni dostaliśmy wagon pampersów. Te pampersy mieliśmy parę lat.

A druga historia była taka, że wpadł kiedyś – co mu się zdarzało często – Daniel Ange, ksiądz francuski. Nawiedzony święty. O siódmej rano. Pół przytomna Renia otworzyła drzwi, a on, jak to on, włos rozwiany i przeleciał po pokojach. W tym czasie już umierał „ciastowy”. Umierał, a ponieważ miał również raka kości, każde najmniejsze stuknięcie o cokolwiek twardego powodowało złamanie. „Ciastowym” zajmował się drugi mieszkaniec, który golił „ciastowego” i karmił. Renia była wtedy jedyną pielęgniarką. Daniel Ange wpadł, zobaczył leżącego „ciastowego”, uklęknął przed łóżkiem i poprosił tamtego o błogosławieństwo. „Zrobimy wszystko, co jest w naszej mocy, abyście znaleźli należne wam miejsce w Kościele i społeczeństwie”. Przecież to jest wyzwanie, które stale przed nami stoi.

„...w Kościele i społeczeństwie”. I w Kościele nie na tej zasadzie, że kiedy wyprawiamy Wigilie dla biedaków, to ją robimy po to, żeby później zjeść Wigilię, ale już we własnym gronie. Żeby nam przypadkiem nie śmierdzili przy stole. Jest w tym jakiś fałsz bardzo głęboki. Bo albo się nie wygłupiamy (bo co to za Wigilia 22 grudnia?), albo otworzymy drzwi. Zdecydujemy się, że trzy lub cztery osoby z naszej wspólnoty, jeśli nie cała, zjedzą tę Wigilię naprawdę z ubogimi, jeśli już robimy Wigilię dla ludzi ubogich. Inaczej głosimy po prostu nieprawdę. Inaczej, jeżeli słowo biskupów nas zobowiązuje, a rozumiem, że zobowiązuje, „zrobimy wszystko, co w naszej mocy, abyście znaleźli należne wam miejsce w Kościele”.

Nie stosujemy się do tych słów, bo traktujemy naszych braci ubogich gorzej niż traktujemy samych siebie.